Rozmaitości

DNIA 27. LISTOPADA — Nr. 48. — ROKU 1841.

Bogowie Grecyi.*)

WIERSZ SZYLLERA

PRZEKŁAD

WALENTEGO CHŁĘDOWSKIEGO.

Kiedyście jeszcze piękny świat rządziły,
  Ludzkiego rodu szczęsne pokolenia,
Na lekkim pasku radości wodziły:
  Piękne istoty z krainy marzenia!
Ach, jakże wtenczas inaczéj bywało,
  Gdy wam w natchnieniu cześć składano szczerą!
Gdy twe świątynie brzmiały twoją chwałą
  Amatuzyjska Wenero!

Kiedy poezyj czarowne zmyślenie
  Około prawdy wdzięk uroczy snuło:
Duch życia wszystko przejmował stworzenie,
  I to, co nigdy czuć nie będzie, czuło.
By ją do piersi przycisnąć miłosnéj,
  Człowiek naturze wyższą zacność dawał,
Gdziekolwiek spojrzał, natchniony, radosny,
  Wszędzie ślad bóstwa poznawał.

Gdzie dziś, jak twierdzi naszych mędrców zdanie,
  Bezdusznie kula ognista się toczy,
Płynął podówczas w złocistym rydwanie
  Cicho, spaniale, Helios uroczy.
Te wzgórza brzmiały Oready pieniem,
  A w onych drzewach wzdychały Dryjady,
Wody tryskały śrébrzystym promieniem
  Z urny rozkosznéj Najady.

Ów laur ramiona za ratunkiem wznosi,
  Córka Tantala zamilkła w téj skale,
Syrinx swe skargi z onéj trzciny głosi,
  Z gaju wywodzi Filomela żale.
Ów strumyk płynie łzami Demetery,
  Za Perzefoną matka je wylewa;
A z tego wzgórza próżno głos Cytery
  Pięknego kochanka wzywa.

Cenniejszy, bóstwa użyczon szczodrotą,
  I droższy bywał każdy dar natury;
A pod Irydy wstęgą barwno-złotą
  Kwietniéj się śmiały i błonia i góry.
W różane szaty Hemery strojony
  Blask zorzy jaśniał w okazalszym wdzięku,
W słodko-płynniejsze odzywał się tony
  Flet w bożka pastérzów ręku.

Urodnéj, złudnéj młodości przymioty
  W Ganimedowém licu odbijały;
A dzielnych mężów bohatérskie cnoty
  Z tarczą Meduzy wzniośléj się wydały.
Wieczny serc związek, Hymenowe dzieło,
  W świętsze i słodsze spajał się ogniwo;
Pasmo żywota mięcéj nawet mknęło
  Pod ręką Parki życzliwą.

Z nieśmiertelnego byłto ogień łona,
  Co tlał tak wzniośle w Pindarowém pieniu,
Co tchnieniem spływał w lutnię Aryjona,
  I w Fidiasza żarzył się kamieniu.
Lepsze istoty, szlachetniejsze plemię
  Ród wyższy z wyższém znamieniem zwiastował;
Mieszkaniec nieba, zstąpiwszy na ziemię,
  Drugie tu niebo znajdował.

Jeszcze podówczas schodził Olimp cały
  Deukaliona zwiédzać pokolenie;
Przy córach Pyrry gasić swe zapały
  Brał syn Latony pastérskie odzienie.
Między ziemiany, bogi i heroy
  Piękne bóg Amor skojarzał przymierze,
I wraz śmiertelni, bogi i heroy
  Hołdy składali w Cyterze.

*) Mitologiczne objaśnienia znajdują się w bardzo dokładnych przypiskach, które Józef hrabia Borkowski przy osobném wydaniu swojego przekładu z r. 1839 umieścił.

Smutne zrzeczenie i surowość smętna
W obrzędach waszych były wygnańcami;
Każdego serca szczęściem biły tętna,
Bo też szczęśliwy był spokrewnion z wami.
Tylko co piękne, to się świętém zwało,
Żadnych się rozkosz bogi nie wstydziły,
Gdzie tchnienie czystéj Kameny władało,
Gdzie Gracyi władał wdzięk miły.

W waszych świątyniach świetno jak w pałacach,
Was bohatérskiem wielbiono igrzyskiem,
Wam przy istmijskich uroczystych pracach
Grzmiał wóz do mety piorunowym błyskiem.
W powabnych splotach, zachwytnie, wesoło
Okrążał taniec ołtarz blaskiem śniący;
Wawrzyn zwycięzki wieńczył wasze czoło,
Korona włos woniejący.

Ewoe ludu, co przy Tyrsów znaku
Tłumno za rysim zaprzęgiem się snuje,
Z Faunem, z Satyrem na czele orszaku,
Wielkiego dawcę radości zwiastuje.
W około skaczą Menady szalone,
Winem i tańcem palą mu ofiary,
A gospodarza lice zrumienione
Ochoczo wzywa do czary.

Groźny kościotrup przed łożem nie stawał,
Duch do Elizijum wzlatywał swobodnie;
Jenijusz śmierci pocałunek dawał,
A drugi schylał żywota pochodnię.
Nawet Orkusa ostrych sądów szalę
Dzierżył w swém ręku potomek ziemianki;
Trackiego wieszcza czułe słysząc żale
Miękły Erebu mieszkanki.

Swoje rozkosze znowu cień radosny
Zastał, wstępując w elizejskie gaje:
Wierny małżonek swój przedmiot miłosny,
Wyścigźnik metę i rydwan zastaje.
Usta Linusa zwykłą pieśń zabrzmiały,
Admet w objęcie swéj Alcesty pada;
Filoklet znowu poznaje swe strzały,
Orestes swego Pilada.

Wyższą nagrodą krzepił się śmiertelny
Na drodze cnoty, pełnéj trudu, znojów,
A wielkich czynów wykonawca dzielny
Do Jowiszowych wstępował podwojów.
Przed wskrzesicielem zmarłych wszystko-władnym
Kłoni się kornie cicha bogów rzesza;
Olimpskich bliźniąt, po żywiole zdradnym,
Światło sternika pociesza.

Świecie uroczy, gdzieżeś nam się podział?...
Młodéj natury powróć błogi raju!
Bajecznaś szatę zmyślenia przyodział,
W czarownym pieśni żyjesz tylko kraju.
Wymarłe błonie smutkiem się pokryło,
Żaden ślad bóstwa na niém się nie ostał;
Z obrazu, w którym wszystko życiem było,
Ach, ledwie cień się pozostał!

Wichrem z północy straszliwie powiało—
I padły kwiaty, w tyle barw bogate;
Aby jednego wszystką okryć chwałą,
Cały świat bogów musiał pójść w zatratę.
Tęskno ja śledzę w gwieździstych przestworzach
Ciebie Seleno—lecz daremna praca!
Wołam po niwach, po borach, po morzach,
Głos próżny tylko powraca.

Nie czując rozkosz, które rozsypuje,
Niezachwycony swoją spaniałością,
Nieświadom ducha, co nim zawiaduje,
Ani szczęśliwszy moją szczęśliwością:
Na sławę twórcy nieczuły umniczą,
Nito szczęk martwy w wahadle zégara,
Prawu ciężkości służy niewolniczo
Odczarowany świat-mara.

By jutro odżyć, wydać istot krocie,
Dziś je zatraca, własny grób swój grzebie;
I jak na wiecznie jednym kołowrocie
Dni i miesiące płyną same z siebie.
W dziedzinę pieśni wróciły na wieki
Nieczynne bóstwa, nieprzydatne ziemi,
Która, wyrosłszy już z pod ich opieki,
Trzyma się skrzydły własnemi.

Ach tak, wróciły—lecz w tym ich ulocie
Wszystko wraz piękne, wzniosłe, uleciało;
Ni barw, ni tonów, ni wdzięku w żywocie,
Bezduszne tylko słowo nam zostało.
Wiecznie schronionych na Olimpu szczycie
Zgubny prąd czasu podołał ominąć—
Co w pieśni wziąć ma nieśmiertelne życie,
Musi w tém życiu zaginąć.

PRZYGODY WYCHODŹCA.

1.

Potoczywszy wzrokiem z wałów *St. Malo* po rozległéj uboczy piaszczystego wybrzeża, które z jednéj strony od spienionego Oceanu, a z drugiéj od dzikiéj, bujną trawą zarosłéj okolicy odbija, spostrzeżesz masę stromych skał wychylonych w morze, które przylądek tworzą. Twierdza Rotheneuf stoi jak orle gniazdo na najwyższym szczycie tego przylądku; patrząc z dołu w niejakiéj odległości, zdaje ci się, że po za krawędź skał wyciśnięte, i niewidomą siłą trzymane

okopy, unoszą się w powietrzu nad wirem, który u jéj podnóża bez ustanku burzy się i szumi! Strona prowadząca ku miastu, jest cokolwiek spadzista, i formuje z stérczących skał wschody w straszną wysokość bieżące, po których jeszcze żaden śmiertelnik nie chodził. Druga strona panująca nad odnogą Rotheneuf, jest ze wszystkiém stromą. Północno-wschodnią przestrzeń przylądku *La Varde,* pomimo że w poblizkości jest miasto i zaludniona włość *Parame,* prawdziwąby pustynią nazwać można. Ta dzika okolica i morskie wiatry, które tam nieustannie panują, odstręczają z tamtąd wszystkich przychodniów; jakoż prócz strzelca lub cłowego strażnika, rzadko kiedy na téj górze kogo innego ujrzysz. Zacząwszy od téj skalistéj twierdzy, aż do uprawionego w pobliżu pola, jest ziemia piaszczysta, moczarami porozdzielana, kępiastą, bujną trawą zarosła.

W miesiącach zimowych wieją w téj okolicy tak mocne i natarczywe od morza wiatry, iż dziwacznym a nawet nierozsądnym byłby pomysł założenia tamże jakiéj siedziby dla ludzi. A jednakże roku 1793 osiadł tam jeden ubogi rybak nazwiskiem Malescot, który wystawiwszy sobie pod urwiskiem skały ubogą z dranic chatę, był tak szczęśliwy, że mu wicher raz tylko w miesiącu strzechę zerwał. Jean Pierre Malescot zajmował się dawniéj naprawianiem okrętów w porcie. A że był silny i w swém rzemiośle bardzo biegły, byłby mógł wygodnie żyć z swojéj pracy, gdyby mu grubijaństwo i dzika popędliwość, dla których go późniéj do żadnego warsztatu przyjąć nie chciano, nie były na przeszkodzie. W skutek tego wyłączenia od wszystkich swych kolegów, został rybakiem; lecz rybołowstwo jest niepewnym i niedostatecznym zarobkiem, zwłaszcza gdy komu na najpotrzebniejszych narzędziach zabraknie i gdy przytém żonę i dzieci żywić musi. Malescot doświadczał tego niedostatku; często i kawałka suchego chleba w domu nie było. Rozjątrzony taką niedolą, katował nieraz bez litości chorą żonę i córkę, dziesięcio-letnią dziewczynkę, która po całych dniach prawie na pół nagą po skałach za głogową jagodą uganiała.

Pomimo tych smutnych wypadków, nie można było nic pewnego dowiedzieć się o domowém pożyciu tego rybaka. Nigdy nie skarzyła się na niego żona, która ciesząc się nadzieją lepszéj przyszłości, że ją kiedyś Bóg z téj niedoli wybawi, tłumiła w sobie żal, i starała się w umysł córki swojéj również tę łagodność i uległość wpoić. Szlachetne to milczenie, jak kilka dobrych uczynków, które Malescot w ciągu życia swego wykonał, zjednały mu w pewnym względzie dwuznaczną słynność. Tkwiło także w pamięci niektórych, że on tak biegłym był w pływaniu, iż w potrzebie nawet pół dnia w wodzie wytrzymać może, i że nieraz z nadzwyczajną odwagą i zwinnością nieszczęśliwych rozbitków, już od wszystkich mianych za zgubionych, prawie cudem z topieliska uratował. Przytaczano wypadki, w których nad wszelką pochwałę znakomite męztwo okazał. Atoli z drugiéj strony dawni koledzy jego opisywali go jednogłośnie, że jest dzikim, chciwym i łakomym człowiekiem. Gdy w ich obecności o jego gospodarstwie i biédnéj Iwonie, żonie jego mówiono, albo gdy uwielbiano jego nieustraszoną ludzkość, wtedy wzruszali ramionami, i dawali do poznania, że on to bardziéj z łakomstwa i dla wsławienia swego nazwiska, niż z prawdziwéj ludzkości czynił.

»Człowiek wyratowany z oczywistéj zguby, płaci bardzo hojnie«, mówili, »a przytém zwykle zbiegają się z ulic ciekawi ludzie, którzy śmiałość i odwagę oklaskami nagradzają. Ale niechże jaki ubogi człowiek w niebezpieczeństwie będzie, na ten czas wątpimy bardzo, ażali go on, niespodziéwając się żadnéj zapłaty, albo w nocy, gdy nikt nie widzi, z niebezpieczeństwa wyratuje.«

Osoby tak mówiące, jak się późniéj okaże, nie myliły sie w swojém zdaniu. Podczas zimnéj i mglistéj nocy w miesiącu lutym 1793 roku wydarzył się następujacy wypadek:

Malescot spał już od trzech godzin, gdy go nagle mocne stukanie do drzwi ze snu obudziło. Mniemając, że jaki żebrak spóźnił się na wybrzeżu, zakazał żonie drzwi otworzyć, a sam przewrócił się spokojnie

na drugą stronę. Lecz stukanie dało się na nowo słyszéć, a Malescot zniecierpliwiony zerwał się z łóżka i wziąwszy do ręki kostur, odsunął wewnątrz zaporę i drzwi otworzył.

»Śpiesz się Malescot, śpiesz!« rzekł strażnik cłowy, którego budka pomiędzy urwiskami skał o kilka set kroków od Malescota chaty oddaloną była. »Na morzu toną ludzie! Statek strażniczy stoi o podal w zatoce, a w twierdzy żaden z nas pływać nie umié!«

W czasie gdy strażnik to mówił, słychać było gwizd wiatru, który po suchym liściu szumiał, i głuszący huk bałwanów, które się o poblizki brzég morski rozbijały. Téjże nocy była wielka burza na morzu; deski chaty trzeszczały jak łamane suche gałęzie. Malescot prawie do naga rozebrany, stał drżący na progu i nie rzekł ani słowa.

»Nie masz chwili do stracenia«, rzekł strażnik zadyszały; »już przeprawiając się do twierdzy, ubiegło mi niemało czasu, którybym całoroczną płacą chętnie okupił! Ostatni głos z morza o pomoc wołający, był słaby i serce rozdziérający; pospiesz więc Malescot, przez miłość Boga, pospiesz na ratunek!«

Malescot jeszcze zawsze nie dawał odpowiedzi; nareszcie rzekł tonem gbura szyderczo: »A pocóż strażnicy są na wybrzeżu? Ta leniwców zgraja, żadnego pożytku nie przynosząca, podobnie wściekłym psóm stroni od wody. Zdarzyłoż się kiedy, aby strażnik cłowy uratował kogo? Przenigdy. A przecież on co tygodnia pobiéra płacę, a Malescot głód cierpi. Ale takito świat! Dobranoc obywatelu! Żona moja odmówi modlitwę za tych, którzy się w téj chwili tam w morzu zakrztuszą; podczas takiéj burzy, nic więcéj uczynić nie można.«

Mało zważał strażnik na obwinienie swych towarzyszy, ale oburzyły go ostatnie nieludzkie słowa rybaka.

»Jako?« rzekł, »toż dopuścisz, aby ci biédni ludzie potonęli, chociażbyś ich bardzo snadno mógł wyratować! O bądź ludzkim, Bóg takiego czynu nie puści bez nagrody! Ostatni głos słychać było bliżéj niż o pół mili; a to jest igraszką dla ciebie, który z wodą jesteś oswojony!«

Zamiast dania odpowiedzi zatrzasnął rybak spruchniałe drzwi swéj chaty, zaklinając się, że w tak burzliwéj nocy ani na krok z domu nie wyjdzie, chociby nawet całe miasto Malo zatonąć miało. Jednakże strażnik był niezachwiany, i nie ruszył się z miejsca; byłto prosty szerogowiec nie mający innego majątku, jak tylko żołd codzienny, jednakże tkliwe wołanie o pomoc, ciężyło mu na sercu, przeto zapukał znowu.

»Słuchaj Malescot« wołał przez szczeliny desek, »jestem ja podobnie jak i ty biédny, ale jeżeli nagroda ma jakową wartość u ciebie, zaklinam cię, nie odmawiaj nieszczęśliwym pomocy, jeżeli żywcem wydobędziesz z toni choć jednego człowieka, dam ci trzy sześć-liwrowe monety.«

Na te słowa naglę odemknęły się drzwi. Malescot z liną w ręku stanął na progu.

»A jeżeli nieżywego na brzég wyniosę?« zapytał.

»Natenczas dam ci połowę«, odrzekł strażnik mocno zdziwiony taką oziębłością i łakomstwem rybaka.

»A jeżeli z niczém powrócę?« zapytał tenże.

»Wtedy niech cię Bóg wynagrodzi! O jakżeś dla nieszczęśliwych nieużytym!... Wtedy otrzymasz talara za swą pracę.«

»Dobrze«, odrzekł Malescot, zabiérając się do wyjścia; lecz po chwili namyśliwszy się, dodał: »Obywatelu, daj mi zaraz talara na rękę.«

»Dam ci wtedy, gdy powrócisz...«

»Ja chcę zaraz. Dasz, czy nie?«

Na te słowa strażnik nie tając swéj niechęci, sięgnął do kieszeni, i wcisnął mu talara w rękę. Tym sposobem nabył prawa do rozkazywania.

»Ruszajże czém prędzéj, nie trać czasu!«

Malescot nie dał sobie dwa razy mówić. Jeżeli nié miał innéj cnoty, był jednakże podobnie jak wszyscy w porcie wyrobnicy rzetelny. Jeżeli mu zapłacono, pracował szczérze. Nie chodziło mu teraz o ludzkość, ale o robotę za talara, albo za trzy sześcio-liwrowe monety.

Pobiegł skwapliwie ku wybrzeżu, a strażnik poszedł za nim. Skoro tam stanął, przeżegnawszy się skoczył w morze.

2.

Tegoż samego dnia w południe, jedna mała barka, która się za ścianą w morze wychylonéj skały długo ukrywała, korzystając z gęstéj mgły zaściélającéj zatokę, rozwinęła spiesznie żagle, i mimo grożącéj burzy, puściła się ku Jersey na morze. W czasie, w którym się ta scena powieści naszéj dzieje, podobne tajemne wycieczki nie były nadzwyczajne. Tłumami wynoszono się podówczas z Bretanii, a uchodząca za granicę szlachta, obiérała najczęściéj wybrzeże w pobliżu St. Malo, jako najmniéj niebezpieczne i do ucieczki najwygodniejsze. Prawda, że tam było mnóstwo nadbrzeżnych stróżów, ale jak to często przy brzegach morskich bywa, pokład urwanych brył skalistych, tworzy tam bardzo wygodne i tajemne sklepienia. Pomiędzy témi złomami skał, które się na pozór ciasno skupionémi mogiłami być zdają, znajdziesz tak nadzwyczajnie tajemnicze kryjówki, tak całkiem nieznane porty i zatoki, iż w nich chociaż niekiedy długo, ale zawsze bezpiecznie ukrywać się można. A gdy nareszcie znużone powieki stuocznego Argusa twardym snem się zawarły, albo też podczas grubéj mgły lub ciemnéj nocy, oczy jego żadnego już przedmiotu dostrzédz nie mogły, wtedy z-cicha, bez wszelkiego szelestu odpływała barka do ochronnego, angielskiego portu. Rzemiosło przemytników było w ówczas bardzo zyskowne. Nie jedna familija w St. Malo, zawdzięcza mu swoje bogactwo. Przemytnicy w roku 1793, oszukiwali zarazem fiskusa i gilotynę. Bacik odpływający z emigrantami, przywoził na powrót tabakę albo chustki jedwabne.

Na statku, który podczas mglistéj pory, jakieśmy to powyżéj nadmienili, z ukrytéj zatoki puścił się na morze, był tylko jeden człowiek, mający lat niemal dwadzieścia i dwa, który pomimo, że mu rybacy odradzali, żądał koniecznie, by rozwinięto żagle. Margrabia St. Jouan nie bez długiego oporu, namyślił się nareszcie opuścić swą ojczyznę. Ojciec jego przed niedawnym czasem zmarły, przewidujący już dawno skutki wypadków z roku 1789, nie zaniedbał jak najprędzéj spieniężyć wszystkie swe posiadłości. Młody margrabia, odziedziczywszy po ojcu ogromne kapitały, oddany z duszą sprawie królewskiéj, przystąpił bez wszelkiéj oględności do stronnictwa pana de la Rouarie, i już pieniądzmi już osobistym wpływem wspiérał spiskowych w Bretanii; lecz gdy się zamach nie powiódł, a główny naczelnik związkowych zginął, wtedy pan Saint Jouan sądził się być uwolnionym od swojéj powinności. Bezstronnym umysłem rozważył siły rojalistów w Bretanii i przekonał się, że z nimi na żaden sposób pomyślnego skutku spodziéwać się nie może. Co większa, spostrzegł, że wszelki rozsądny system obrony jest niepodobieństwem, gdyż szlachta zamiast działania zjednoczonémi siłami, toczyła spory o piérwszeństwo w wojsku i zajmując się wyłącznie dziecinnémi stopniami, nie żądała za naczelnika najzdatniejszego i najbieglejszego w sztuce wojennéj, lecz najmajętniejszego, najstarożytniejszego z urodzenia. Zwątpił zupełnie o pomyślném rozwiązaniu sprawy, o którą nawet jenijusz samego de la Rouarie rozbił się jak o skałę; mocno ubolewał nad zgubą tego męża, który byłby niezawodnie wielkich rzeczy dokazał, gdyby sami niezgodni stronnicy jego, nie byli planów jego zniweczyli. Wtedyto dopiéro pomyślił o swojém ocaleniu. Zamek jego leżał w pobliżu wybrzeża; zebrawszy więc i zamknąwszy puściznę po swoim ojcu w podróżną szkatułkę, dostał się szczęśliwie na miejsce, z którego do Anglii przemytnicze łodzie płynęły.

Gdy się już na mil kilka od zatoki w Rotheneuf na morze oddalił, zaskoczyła go straszliwa burza. Nagle zerwał się wichr straszny, nie długo trwało, a już i łódź wywrócił. Wszyscy majtkowie potonęli, margrabia jako wprawny i doświadczony pływacz, utrzymywał się na powierzchni wody aż do saméj nocy, a wzywając kiedy niekiedy pomocy ratunku, dostał się nareszcie po wielkiém natężeniu, na skałę, która jednakże od brzegu dosyć oddalona była. Wycieńczony na siłach, padł prawie bez zmysłów na skałę, a krzyknąwszy raz jeszcze o pomoc, i położywszy głowę na szkatułce, któréj się nie puścił, zasnął.

Działo się to na godzinę wprzód, nim się Malescot w morze rzucił. Zimna jak lód wodą, pokurczyła mu z razu wszystkie muszkuły; otrętwiały płynął z wielkim trudem; zimno zapiérało mu oddech w piersi, i od każdéj fali, która się o jego głowę rozbiła, dostawał zawrotu; wkrótce jednakże wytrwała, ziemno-wodna natura jego, wzięła przewagę; rozegrzana krew zaczęła mu znowu wolno krążyć w żyłach, zaczął wraz raźniéj płynąć, i za każdém pomknięciem wydobywał się z wody jak ryba, która w dniach kanikuły w górę się rzuca, a podczas burzy lśniące ciało swoje na pastwę morderczego ptaka wystawia. Po upływie chwil kilku uczuł się tak w wodzie swobodnym, jak piérwéj w łóżku.

Gdy się oddalał od strażnika, wskazał mu tenże kierunek, którym się miał puścić, gdyż głosu już nie było słychać.

Malescot płynął snadno w prostym, wskazanym mu przez strażnika kierunku, gdyż był w swoim żywiole. Burzą i on byli ze sobą dobrze

obeznani. Rybak ten dumny z niezaprzeczonéj przewagi swojéj, rzucał się już nieraz w morze, kiedy najbardziéj rozhukane było, a to jedynie w tym zamiarze, aby zdziwiona tłuszcza, równie siłę jak i nadzwyczajną wprawę jego podziwiać mogła. Strażnik utrzymywał, że dla niego jest zabawką zostawać kilka godzin w wzburzoném morzu, i powiedział rzetelną prawdę.

Malescot szukał wzrokiem po morzu, ażali gdzie jakie ciało ludzkie nie pływa, lecz nic nie ujrzał. Płynał więc szérokim łukiem około miejsca, gdzie się okręt miał rozbić, a wziąwszy sobie za punkt średni skałę, która ciemno z pośród białéj piany stérczała, zwężał coraz bardziéj koło swoje, i zbliżał się coraz więcéj do skały w przekonaniu, że tym sposobem nic baczności jego nie ujdzie.

Szukając niezmordowanie przez pół godziny, nie mógł odkryć żadnego topielca. Nareszcie zbliżywszy się do skały, wydał jako hasło krzyk przeraźliwy.

Téjże saméj chwili podniosła się jakaś postać na szczycie skały.

»Dobrze«, pomyślił sobie Malescot; »ośmnaście liwrów już moje. Hola ho!«

»Hola ho!« zawołał człowiek na skale.

»Czy sam jesteś?«

»Sam jeden.«

Słowa te wyrzeczone były z natężeniem, ale zawsze jeszcze tym arystokratycznym głosem, jakiego, jakby rzéc można, ani wysilone utrudzenie, ani nawet groźne niebezpieczeństwo złagodzić nie zdoła.

»Aha, były szlachcic!« pomyślił sobie Malescot. »Obywatelu!« zawołał głośno, »pójdź tu, użyj rąk i nóg swoich, jeżeli pływać umiész; a jeżeli nie, więc wezmę cię na linę i lekko aż do Rotheneuf pociągnę. Napijesz się wprawdzie cokolwiek morskiéj wody, ale nic to nie szkodzi, przeczyścisz sobie żołądek.«

»Czy morze opada?« zapytał nieznajomy.

»Już niedaleko północy obywatelu; odlew morza dopiéro o godzinie trzeciéj nastaje.«

Żałośnym jękiem okazał nieznajomy swoje zmartwienie.

»Czy daleko z tąd do brzegu?« zapytał po chwili.

»Niespełna trzy ćwierci mili.«

Z złośliwą radością uważał Malescot jakie wrażenie czynią jego odpowiedzi na nieznajomym. Ubogi i wzgardzony naprawiacz okrętów, mógł teraz według upodobania dręczyć dumę majętnego szlachcica, a co to za rozkosz dla poziomo urodzonego! Zasmucony rzekł tenże ostatni po krótkiém milczeniu: »Jestem bardzo zmęczony i nie dopłynę do brzegu. Powiédz mi, poczciwy człowieku, czy wylew morza i tę skałę zatapia?«

»Nie minie godzina, a cały bryg będzie mógł snadno po nad jéj szczyt się przesunąć. Ależ do licha, nie trać czasu! Widzę, że nie umiész pływać. Oto masz moję linę, opasz się nią w koło.«

»Co tu począć?« rzekł sam do siebie nieznajomy, zdający się ważnémi myślami być zajęty.

»Boi się przybyć do Rotheneuf, gdzie straż stoi«, pomyślił sobie Malescot; »tém ci gorzéj dla niego, mnie to nie troszcze.« Poczém ozwał się jeszcze raz głośno i z fukiem: »Jakże, zejdziesz czy nie? Wiédz o tém, iż jabym wolał leżéć w łóżku, niżli tu stać na zimnie przy brzegu. Pójdź, albo sam powrócę.«

Rozbit, który, jak się czytelnicy nasi domyślić mogą, był margrabia Saint Jouan, postąpił kilka kroków, jednakże zachwiawszy się w swym zamyśle, znowu się zatrzymał.

»Jestem w wielkim kłopocie poczciwy człowieku«, rzekł; »mam tu z sobą szkatułkę, która w tych okolicznościach jest dosyć ciężka. Gdybym nie miał żadnego ciężaru, snadnobym, bez utrudzenia się, mógł milę płynąć; umiém bowiem tak pływać, iż mi nikt nie wyrówna. Ale że już przez cztéry godziny utrzymywałem się z moją szkatułką na wodzie, jestem więc mocno wysilony; jeżeli mi chcesz pomódz, więc ją obadwaj razem w wodzie nieść będziem'.«

»Do stu czartów! Cztéry godziny, to za długo!« rzekł Malescot, którego najszczególniéj ten wypadek zadziwił. »Jednakże, jeżeli powiadasz, że ci nikt w pływaniu nie wyrówna, to się bardzo mylisz, gdyż teraz widzisz przed sobą Malescota. A spodziéwam się przecię, żeś cokolwiek o nim zasłyszał.«

»I owszem słyszałem«, odrzekł margrabia, przypominając sobie dawne pogłoski, »jestto biédny, nieszczęśliwy, ale rzetelny człowiek. Bogu dzięka, będę uratowany! Jakże, weźmiesz na swe barki połowę ciężkości téj szkatułki?«

»Wezmę ją całą obywatelu; tyś bawiąc się cztéry godzin na wodzie, dość się już namęczył. Daj ją tu, a sam bądź zupełnie spokojny.«

Margrabia namyślał się przez chwilę. Chociaż podług jego zdania Malescot był poczciwym człowiekiem, jednakże nie mógł się odważyć oddać w ręce nieznajomego cały swój majątek.

»Nigdy ja«, rzekł, »nie rozłączę się z tą szkatułką. Przystań na to, co powiedziałem, a za trud swój, skoro się do lądu dostaniem, otrzymasz 50 luidorów.«

»Co? Pięćdziesiąt, jako? Pięćdziesiąt luidorów mówisz? Ach!... wszakto skarby świata muszą być w téj szkatułce!«

»Są w niéj szczególnie ważne dla mnie papiéry. Jakże, przystajesz na to?«

»A czemuż nie, przystaję i ręczę za wpana i za szkatułkę.«

Na te słowa podał margrabia Malescotowi jeden koniec sześć-ściennej z antabami szkatułki, poczém obadwaj razem skoczywszy w morze, popłynęli śmiało ku wybrzeżu.

3.

Szkatułka była w saméj rzeczy ciężka, jednakże margrabia pomimo ten ciężar płynął w milczeniu tak raźno, iż mu rybak zaledwo mógł starczyć.

Morze nie ustawało toczyć bałwanów po bałwanach, kipiało i szumiało topielisko; podobnież wichrzyły myśli Malescota; jedna drugą rodząc dławiła, i znowu na wiérzch wypychała!

Gdybyśmy tu opisywać chcieli, jaki odmęt szatańskich nagabań łechtał Malescota chciwą duszę, jak mu z początku tylko ciemne, dalekie, do zgaszenia snadne, migały się zbrodnicze pomysły, a potem coraz bliżéj i wyraziściéj stając przed nim, i zażegając sprośną wyobraźność jego, gnały go jak owo rozjadłe zwierzę do krwawego czynu; byłoby to może łatwém ale niepożytecznem przedsięwzięciem. Każdy snadno objąć może logiczny związek tych dwóch myśli: »To jest skarb, który mnie na całe życie zbogacić i uszczęśliwić może«, a drugą: »Skarb ten na wszelki sposób moim być musi.« Krwawe ziarno, krwawy owoc daje! — Malescot, który już umyślnie nie chciał dążyć wprost ku brzegowi, puścił się nieznacznie innym kierunkiem, i płynął prawie wciąż równolegle z wybrzeżem. Po niejakim czasie usłyszał z piekielną radością, że margrabia ciężko oddychać zaczął, i w téjże chwili zbrodnię wykonać zamyślił. Zaczął się nagle skarżyć na ból w ramieniu, którém stérował, i prosił margrabiego o przemianę miejsca, aby ramię jego odpocząć mogło. Margrabia nie mając żadnego podejrzenia, zezwolił chętnie na tę odmianę, która i dla niego ulgę przynieść miała. Malescot trzymając ciągle jedną ręką szkatułkę, popłynął drugą cokolwiek naprzód, i w téjże saméj chwili, kiedy już wyprzedził margrabjego, i miał się nogami wprost ku głowie jego, ściągnął się wszystkiémi siłami w kupę, i tak potężnie kopnął go w czoło, że ten nieszczęśliwy w okamgnieniu pod wodę poszedł! Malescot zaś uchwyciwszy szkatułkę, pomknął się co miał mocy, i popłynął spiesznie ku wybrzeżu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 47. i obejmuje: 1) Próba porównawcza z kartoflami w roku 1841 posnasznym. 2) Środki zapobiegania i léczenia niektórych chorób bydła rogatego i owiec. (Dokończenie). 3) Opisanie dobréj suszarni czyli las do suszenia słodu. 4) O torfie w ogóle, a w szczególności o torfie zamarstynowskim pode Lwowem, przez Teodora Torosiewicza. (Dokończenie). 5) Sposób robienia prasowanych drożdży z zacieru wódczanego. 6) Wiadomości czasowe.

Z Wilna: Tom czwarty *Athenaeum*, wydawanego przez J. J. Kraszewskiego, rozpoczyna się ważnym wyjątkiem z dzieła Henr. hr. Rzewuskiego: *O prawidłach cywilizacyi narodów*. Następuje Tytusa Szczeniowskiego gruntownie napisana rozprawa: *O filozofii*. Dalej idą pamiątki historyczne, złożone z uniwersałów, instrukcyj i listów z XVII. i XVIII. wieku. Wydawca znając wartość podobnych zabytków, czyni przysługę, że je upowszechnia. Z literatury umieścił szanowny wydawca akt piérwszy swego dramatu *Jan z Nepomuk*, zapowiadający piękny przyrostek do naszéj zresztą tak ubogiej literatury dramatycznéj, do któréj rozwinięcia się zdaniem naszém największą jest przeszkodą zbyt mała ilość teatrów narodowych. Następuje gładko rymowana luboć trochę rozwlekła powiastka K. Bujnickiego: *Moje przygody*. Kończą tom doniesienia o nowszych dziełach polskich i czeskich, o ksylografii (drzeworycie), o szkicach Franciszka Smuglewicza, grzeczno-pochwalny przez wydawcę rozbiór: *Gawęd i obrazów* K. Wojcickiego, wreszcie ciekawe z różnych pism Rozmaitości. Szczególnie wdzięczni jesteśmy wydawcy, że pismu swojemu przydał oddział filozofii, którego dotąd nie miało, a co wyższą, odpowiedniejszą potrzebom cywilizacyi nadaje mu ważność. *S. J.*

H. Cattlej przełożył na język angielski *Konrada Wallenroda*.

Scribe w bileciku do teatru *Comedie française* oznajmił, że napisał znowu wielką komedyję w pięciu aktach, którą przed komitetem odczytać zamyśla. — Najnowszy dramat Dumasa ma nazwę: *Cornelia*. — I »Debutantka« znalazła dla siebie matkę, gdyż na teatrze *Gaieté* z oklaskami przyjęto *Mère de la debutante*, przez pana Desnoyers napisaną. — Na teatrze *de l'Ambigue comique* przedstawiono wypadek głośnej kryminalistki Lacombat, któréj proces w ośmnastym wieku również zwracał na siebie uwagę publiczności, jak w naszych czasach procès pani Lafarge. — Panna Rachel wystąpi w trajedyi pod nazwą: *Fredegondè et Brunchaut*, przez pana Lemerciera napisanéj.

Czyn szlachetny. Wydawca znanego pisma: *Revue des deux mondes*, przysłał niedawno panu Lamartine banknot na 500 franków z prośbą, by mu za to dla dziennika jego jaki wiersz napisał. Lamartine nie przyjął tych pieniędzy, lecz wkrótce potem przysłał redakcyi nadmienionego dziennika »*Marsylijankę pokoju*« z prośbą, aby rzeczony banknot przesłała nieszczęśliwemu poecie, którego sam wymienił. Redakcyja dołączywszy do tegoż banknotu drugi w takiejże saméj kwocie, odesłała je przeznaczonéj osobie.

Ciekawe porównanie. W narodowym kalendarzu saskim czytamy następujące ciekawe porównanie: W królestwie saskiém jest 143 miast a 3270 wsi i miasteczek, które zsunąwszy wszystkie w kupę na jedno miejsce, i napełniwszy je mieszkańcami, będziemy mieli miasto Londyn. Poszedłszy z Drezna do Frejberga o cztery mile, przeszedłeś wzdłuż Londynu. By spamiętać 14,000 ulic Londynu, potrzebaby pamięci Mitrydata; w tomiast masz gruby słownik na swe posługi. Widząc przeciągające po przed siebie wszystkie z dwunastu tysięcy ludzi złożone saskie wojsko, 3 pułki konnicy, tyleż pułków piechoty, pułk artyleryi i t. d. — pomyśl sobie, żeś dopiéro widział pułki — nocnych stróżów Londynu, które więc małą armiję formują. Londyn mieć ma 300,000 domów; snadno więc liczyć można milijon kominów, do wyczyszczenia których potrzebaby całego pułku, a zatem 1800 do 2000 kominiarzy. Gdyby półtora milijona mieszkańców Londynu postawiono pojedynczo jednego przy drugim, uformowałaby się linija mająca 62 1/3 milę długości, a zatem taka linija, którąby największą długość Saksonii dwa razy zmierzyć można. Gdyby w czasie przymuszono mieszkańców Londynu do opuszczenia swego miasta, wynoszenie się ich trwałoby nierównie dłużéj niż Izraelitów z Egiptu.

Łacińska dzielnica w Paryżu. Dzielnica tak zwana: *Pays latin* w Paryżu, przedstawia osobliwszy widok, i mówią, że do ostatniego wieku żadnéj zmiany

nie doznała. Domy w téj części miasta mają kształt niezwyczajny. Każdy, którego tam spotkasz, zdaje się być autorem, nie takim wprawdzie jak autorowie dzisiejsi, to jest, wytwornie ubranym i t. d., lecz ubożuchnym, jak autorowie niegdyś wyglądali. Za każdym krokiem spotkasz ludzi w wytartych sukniach, z książkami pod pachą albo w ręku, którzy nawet idąc czytają. Również i niewiasty w *pays latin* wyglądają wcale inaczéj, niż w innych dzielnicach miasta. Zdaje się, że w nich wrodzona chęć podobania się obumarła, gdyż ubiór ich jest całkiem zaniedbany, i podług dawno zapomnianéj mody. Nawet młode niewiasty i dziewczęta noszą się tak niedbale, iż dają przez to do poznania, że tamtejsi mężczyźni żadnéj uwagi na nie nie zwracają, czém tę starodawną prawdę stwierdzają: że niewiasty jedynie się dla tego stroją, aby się mężczyznom podobać mogły.

Dyrektor teatru. W dzienniku angielskim *The lyre* czytamy: »Dyrektor teatru, ach! nie chodzi po różach, owszém droga jego cierniem jest wyścielona. Posada jego wymaga cierpliwości Hioba. Przykry jego urząd, rozliczne obowiązki, a każda godzina dnia, wymaga coraz nowych. Dogodzić wszystkim jest czyste niepodobieństwo, a nawet gdyby tego chciał dokazać, miałby niewdzięczność, albo nazwę głupca w nagrodę. Jeżeli odrzuci jaką sztukę, zżyma się na niego autor, obwinia go o parcyjalność, o brak smaku i rozsądku. Jezli ją przyjmie i na scenie wystawi, a sztuka się nie podoba, autor składa znowu winę na niego, zarzucając mu: że aktorowie albo sie ról nie douczyli, albo je źle grali, albo że publiczności umyślnie podobać się nie chcieli. Jak gdyby dyrektor dawał nową sztukę dla tego, aby sam na tém tracił! Jeżeli się zaś nowa sztuka podoba, o! wtedy autor całą sławę przypisuje sobie samemu, a biédny dyrektor zostaje wiecznym dłużnikiem. — Teraz dodajmy jeszcze aktorów, którzy nigdy nie są zadowoleni, i zawsze na coś uskarzać się mają. Jeden nie chce grać téj roli, gdyż skrycie czuje, że przechodzi jego pojęcie; drugi nie chce przyjąć owéj, bo mu jest za licha, a rwie się do téj, któréj nie podoła; trzeci chce wszystkie inne role w pięknych miejscach wykreślić, aby tylko jego rola w całym blasku jaśniała; czwarty maże istotnie piękne miejsca, a zostawia krzykliwe do *brawa* zmuszające! Jeżeli dyrektor jest łagodny, pobłażający i przystępny, wtedy nazywają go dobrą duszą, ale znieważają i hańbią po za oczy; jeżeli zaś jest ostry, surowy i wymaga koniecznie, aby każdy pełnił swoję powinność, wtedy go zowią tyranem; w teatrze unikają go, a za teatrem potwarze nań rzucają. Powinności jego nie mają końca, od rana do wieczora mozoli się i pracuje; czyta nowe sztuki, wydobywa przestarzałe, przerabia stare, ogląda się za osobami z talentem, kréśli, ogładza, odrzuca, szykuje, płaci, spekuluje, godzi sprzéczki i tysiączne inne rzeczy załatwia. Biédny człowieku! Któżby chciał być na twojém miejscu?« (*Telegr. fur D.*)

Daguerotyp policyi paryskiéj. Policyja paryska każe obecnie daguerotypować wszystkich wielkich oszustów i dołącza te wizerunki do aktów, w które ich przestępstwa wpisano. Jeżeli się więc który z takich ludzi będąc wypuszczony, po odbytym czasie kary, nowych przestępstw dopuści, natenczas wizerunek jego pokazują ajentom policyjnym, aby go tém snadniéj poznać i złowić mogli. Zapewne nie spodziéwał się Daguerre, aby odkrycie jego do podobnego zamiaru kiedyś zastósowano.

Sposób napisania sztuki dramatycznéj. Scena przed sądem paryskim. Théophil jest prawdziwym przyjacielem artystów. On brata się z Julijuszem Janinem, głaszcze Liszta po głowie, zażywa tabaki z tabakierki Nodiera, krzyczy w ucho Beauvalletowi i przedziéra się z wszystkiémi psami Alfonsa Karr. Widać, że Théophil jest człowiek bardzo wzięty w świecie, w którym się literaturą dramatyczną zajmują. Atoli sposób, w jaki on został pisarzem dramatycznym jest tak dziwny, iż zasługuje na obwieszczenie. Akta procesu wyświecają to dostatecznie. — Sędzia (do Calamela): »Zaco żądasz wpan sto franków wynagrodzenia od pana Théophila?« — Calamel: »Mości sędzio, muszę wpanu wykryć niegodziwość, któréj się dopuszczono; żądam sto franków za to, ponieważ mnie owocu wielu bezsennych nocy pozbawiono.« — Théophil: »Słusznie mowisz; ty się kładziesz o godzinie ósméj w łóżko i śpisz do rana jak zabity.« — Calamel: »Sąd skazuje na karę ludzi, którzy chustki kradną; prawodawca nie wytknął złagadzających okoliczności na przypadek, gdyby takowe dzinrawe były; nie miałżeby sąd skazać na karę człowieka, który wodewile kradnie!!« — Sędzia: »Oświadcz się wpan dokładniéj.« — Calam.: »Pan Théophil przychodzi do mnie i mówi: Czy masz wpan plan do jakiéj sztuki? Jeżeli masz co porządnego, więc ja tę rzecz urządzę; wiadomo wpanu, że mam wpływ i postaram się, iż sztuka przedstawioną będzie. Na takie zaręczenie daję mu szkicę, wyborny plan, a mój panicz odchodzi.« — Sędzia: »Jakże, napisał sztukę?« — Calamel: »Bynajmniéj, poszedł do pana Carmouche, jak mi się zdaje, i rzekł do tego jenijalnego wodewilisty: Mości panie, oto jest plan, który zrobiłem; kuplety są już całkiem gotowe, jeszcze tylko dyjalog zrobić pozostaje; zrob go wpan przez noc, wszak wpanu to nie trudno.« — Sędzia: »Uczyniłże to pan Carmouche?« — Calamel: »Uczynił, plan go zachęcił, w dwudziestu czteréch godzinach był dyjalog gotowy. Cóż teraz czyni pan Théophil? Oto udaje się do pana Labic, jednego z najjenijalniejszych poetów wodewilowych, tego humorystycznego spółpracownika Pawła de Kok, i mówi mu: Oto jest plan, szkica scen i sztuka, którą napisał; zbywa mi tylko na kupletach, spodziéwam się, że mi je wpan dorobisz.« (Śmiech powszechny). — Sędzia: »Dorobionoż kuplety?« — Calam.: »Dorobiono, a nawet wyborne, które poklask zyskały. Ale czego wpan się nie domyślisz, jestto teoryja pana Théophila przywłaszczenia sobie samemu cudzéj sławy.« — Sędzia: »Jak to?« — Calamel: »Oto tak, pan Théophil powiedział swoim spółpracownikom, że ponieważ on tylko sam napisał tę sztukę, więc tylko jego nazwisko może stać na afiszu, tym sposobem tak moje jako też tych panów nazwisko zamilczane zostało.« — Sędzia: »Czyliż oni się nie upominali? — Calamel: »Nie upominali; ale łatwo zgadnąć dla czego; oni mają obfity talent do rozdawania hojnie jałmużny. ale ja, jako początkowy poeta, nie powinienem paść ofiarą tego podstępu. Ja żądam 100 franków wynagrodzenia.« — Z powodu śmiałego zaprzeczenia pana Théophila i niedostatecznych dowodów, sąd odprawił z niczém Calamela, żałując go, że podstępu swego spółpracownika dostateczniej dowieść nie może.

Sprostowanie:

W Nrze. 47. »Rozmaitości«, w powieści Grenze, w wierszu siódmym z góry, zamiast: *Dyjanny odwidził*, czytaj: *Dyjanny z Poitiers odwidził.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krallera.
Drukiem Piotra Pillera.